TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........ $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 4. Chicago, Ill., Czwartek, 27-go Stycznia, 1898 Rok XII.

Książe Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

W końcu wstał Iwan. Dworacy wstali także, i wszyscy po kolei zaczęli podchodzić do cara, z którego rąk otrzymywali suszone śliwki.

W tejże chwili przez tłum przecisnął się opricznik który nie należał do grona ucztujących i począł coś szeptać do ucha Malucie. Wściekłość odbiła się na twarzy Skuratowa, która nie uszła wzroku carskiego. Wściekłość odbiła się na twarzy Skuratowa, która nie uszła wzroku carskiego. Jan zażądał wyjaśnienia rzeczy.

— Carze! powiedział głośno Maluta — rzecz niesłychana: zdrada! bunt! przeciwko twej świętej osobie.

Przy wyrazie zdrada! car zbladł. — Carze — ciągnął dalej Maluta — w tych dniach kazałem swoim opricznikom objechać okolice Moskwy, dla tego, carze, żeby się przekonać, czy dobrze spełniają twoje rozkazy moskiewscy ludzie, aż tu oto jakiś bojar napadł na nich ze swymi chłopami. Wielu opriczników na śmierć zabili, a mego strzemiennego okropnie pokaleczyli. Sam ledwie stoi za drzwiami strasznie zbity. Każesz go zawołać?

Jan*) rzucił wzrokiem dokoła opriczników; na każdej twarzy wyczytał gniew i oburzenie. Wtedy twarz jego stała się jakąś dziwnie wesołą i rzekł spokojnym głosem:

*) Jan po polsku a Iwan po russku.

— Zawołaj!

Wkrótce do sali wszedł Maciej Chomiak z podwiązaną głową.

IX.

Sąd.

Nie obmył Chomiak swej twarzy z krwi, powalał nią naumyślnie i chustkę, którą był podwiązany i ubranie: "niech car zobaczy, jak zbili sługę jego." Doszedł do Iwana, padł przed nim i czekał na kolanach, aż car pozwoli mu mówić.

Wszyscy z ciekawością patrzeli na Chomiaka. Car pierwszy przerwał milczenie.

— Na kogo bijesz czołem? Jak się rzecz miała? Opowiadaj od samego początku!

— Na kogo biję czołem, sam nie wiem carze święty. Nie powiedział mi ten pies swego imienia ani przezwiska. A bił mnie i kaleczył okrutnie.

Wszyscy z zatrzymanym oddechem, z podwojoną uwagą słuchali, co będzie dalej. Chomiak tak mówił:

— Przyjechaliśmy, carze, do wsi Miedwiediewki, aż tu ci opętańcy zlecieli na nas, jak śnieg na głowę, pokłuli, porąbali z dziesięcioro, a resztę powiązali, a bojar, ich rozbójnik, chciał wszystkich powywieszać, zaś dwóch opryszków, których złapaliśmy, kazał puścić na swobodę.

Zamilkł Chomiak i poprawił na głowie swą krwawą chustkę. Opricznikom zdawało się to nieprawdopodobieństwem. Podobnież i car myślał.

— Abo ty prawdę mówisz — powiedział patrząc na Chomiaka przenikliwym wzrokiem. — Czyś czasem wódki za wiele nie golnął? a głowy czy ci przy kieliszku nie rozbili?

— Gotów jestem krzyż całować, że prawdę mówię. Kładę głowę na poręczenie słów moich.

— A powiedz, dla czego cię ten bojar nie powiesił?

— Widać się rozmyślił i nikogo nie powiesił: wszystkich kazał zbić batami.

Szmer dał się słyszeć w zebraniu.

— A wielu was było?

— Pięćdziesięciu, ja pięćdziesiąty pierwszy.

— A ich wielu?

— Nie ma co taić, ich było mniej, tak wszystkich ze dwudziestu lub trzydziestu.

— I daliście się powiązać i zbić jak stare baby? Co się z wami stało? Ręce wam poschły? Odwaga w pięty uciekła? Warte śmiechu! I cóż to za bojar wśród białego dnia napada na opryczników! Chcieliby wykorzenić opricznictwo! ale nie łatwo! I mnieby zjeść chcieli, ale im się nie udał Słuchaj! jeżeli chcesz, żebym ci uwierzył, nazwij mi tego bojara, a nie, to przeproś za swoje łgarstwo! Jeżeli nie zrobisz ani jednego, ani drugiego, źle z tobą!

— Carze prawosławny — odpowiedział strzemienny ze stanowczością, — Bóg świadkiem, że mówię prawdę, a karać mnie, na to twoja wola. Nie boję się śmierci, boję się podłości!

Chomiak obejrzał się do koła, jakby żądając na to potwierdzenia opryczników, kiedy wzrok jego nagle się spotkał z wzrokiem Srebrnego.

Trudno opisać, co się działo podówczas w duszy Chomiaka. Zdziwienie, zwątpienie, w końcu złowroga radość po kolei się malowały na jego twarzy.

— Carze! powiedział wstając — jeżeli chcesz wiedzieć, kto napadł na nas, to każ temu oto bojarowi powiedzieć swe imię i nazwisko.

Wszystkich oczy zwróciły się na Srebrnego. Car zmarszczył swe gołe brwi i patrzał na niego bez przestanku, nie mówiąc ani słówka. Nikita Romanowicz stał nieruchomie, spokojnie, lecz blady.

— Nikita — powiedział w końcu car, wolno wymawiając każdy wyraz — odpowiadaj! Znasz tego człowieka?

— Znam, carze.

— Napadłeś na niego i opryczników?

— Carze, człowiek ten sam napadł na wieś...

Chomiak przerwał księciu. Żeby potępić wroga, postanowił nie żałować nawet samego siebie.

— Carze — powiedział — nie słuchaj bojara. On na mnie błotem bryzga dla tego, że nie jestem wysokiego rodu; prawdy

przeto między nami nie dojdziesz, ale spytaj się opryczników.

Srebrny z pogardą spojrzał na Chomiaka.

— Carze — rzekł — nie zapieram się. Napadłem na tego człowieka, kazałem go bić batogami, potem kazałem bić...

— Dosyć! — powiedział ostro Jan Wasiliewicz. — Odpowiadaj na moje pytanie. Czyś wiedział, napadając na nich, że to są moi opycznicy?

— Nie wiedziałem, carze.

— A jak chciałeś ich wieszać, powiedzieli ci, co oni za jedni?

— Powiedzieli, carze.

— Dla czegóż ich nie powiesiłeś?

— Dla tego, carze, żeby ich oddać w ręce twoich sędziów.

— Dla czego od samego początku nie odesłałeś ich do moich sędziów?

Srebrny nie wiedział co odpowiedzieć.

Car wlepił w Nikitę Romanowicza swój przenikliwy wzrok, i starał się przeniknąć do głębi jego duszy.

— Nie dla tego — powiedział — nie dla tego ich nie powiesiłeś, żeby ich oddać sędziom, ale dla tego, że ci powiedzieli, iż są carskimi ludźmi.

— I ty — mówił dalej car ze wzruszającym gniewem — ty wiedząc, że oni są moimi sługami, kazałeś ich batożyć?

— Carze!

— Dosyć! — wrzasnął Jan. — Skończone, bracia, ciągnął dalej Groźny zwracając się do swych ulubieńców — Na co zasłużył bojar książę Nikita? mówcie. jak wam się zdaje? Chcę się dowiedzieć, co myśli każdy.

Słowem Jana można było jeszcze wierzyć, ale wzrok mówił, że w sercu swojem już car rozstrzygnął los księcia, i że biada temu, czyj sąd wyda mu się lżejszym od jego własnego.

— Mówcież ludzie, powtórzył podniesionym głosem, na co zasłużył Nikita?

— Śmierć mu! odpowiedział carewicz.

— Śmierć mu! powtórzyli Skuratow, Griaznoj, ojciec Lewkij i obaj Basmanowie.

— Tak, niech mu będzie śmierć — powiedział Jan z zimną krwią. — Albowiem jest napisano: kto wojuje mieczem, od miecza zginie. Ludzie, bierzcie go!

— Srebrny w milczeniu pokłonił się Janowi; kilku ludzi zaraz go otoczyło i wyprowadziło z sali.

Wielu podążyło patrzeć na spełnienie kary śmierci, inni pozostali. Głuchy szmer słychać było w sali. Car z tryumfującą miną zwrócił się do opryczników.

— A co bracia spytał, czy sprawiedliwy mój sąd?

— Sprawiedliwy, sprawiedliwy! — krzyknęli opycznicy, którzy znajdowali się bliżej Jana.

— Nie — odpowiedział jeden głos.

Oprycznicy się wzburzyli.

— Kto to powiedział? Kto wymówił to słowo? Kto mówi, że sąd carski niesprawiedliwy? zewsząd dało się słyszeć.

Na wszystkich twarzach malowało się zdziwienie; oczy wszystkich błyszczały gniewnie. Jeden tylko najokrutniejszy nie okazywał gniewu: Maluta był blady jak śmierć.

— Kto mówił, że sąd mój niesprawiedliwy? — spytał Jan, starając się nadać swej twarzy wyraz jak największej łagodności. — Niech ten, kto to powiedział, stanie przed moje oblicze!

— Carze — rzekł Maluta nadzwyczaj wzruszony — między dobrymi sługami twymi wielu jest teraz pijanych, wielu jest takich, którzy mówią bez namysłu, nie pytając rozumu swego. Nie każ szukać carze tego pijaka. Jak się otrzeźwi, sam nie uwierzy, co paplał po pijanemu.

Car z niedowierzaniem spojrzał na Malutę.

— Ojcze Peraklisiarchu — powiedział z uśmiechem, oddawnaż to serce ci tak zmiękło?

— Carze — mówił znowu Maluta — nie każ...

Ale już było za późno.

Syn Maluty wystąpił naprzód i z uszanowaniem stał przed Iwanem. Maksym Skuratow był tym samym opycznikiem, który wybawił Srebrnego od niedźwiedzia.

— To ty, Maksymku, ganisz mój sąd — powiedział Jan, patrząc ze złowrogim uśmiechem to na ojca, to na syna.

— No, mówże Maksymku, dla czego ci się mój sąd nie podobał?

— Dla tego, carze, żeś nie wysłuchał

Srebrnego; nie dałeś mu się przed tobą usprawiedliwić i nie spytałeś go nawet, za co chciał powiesić Chomiaka!

— Nie słuchaj go carze — błagał Maluta — on pijany, ty widzisz, jaki pijany! Nie słuchaj go! — Poszoł pijaku, uciekaj ze łbem swoim.

— Maksym nie pił ani wina, ani miodu, zauważył złośliwie carewicz. — Patrzałem na niego przez cały czas, nawet ust nie otworzył.

Maluta spojrzał na carewicza wzrokiem, od którego każdyby zadrżał. Ale carewicz uważał się za niedostępnego dla zemsty Maluty. Drugi syn Groźnego, następca tronu, miał w sobie wszystkie niegodziwości ojca, a złe przykłady coraz więcej zagłuszały to, co było w nim jeszcze dobrego. Jan Iwanowicz już nie znał litości.

— Tak dodał — z uśmiechem — Maksym nie jadł i nie pił przy obiedzie. Jemu się nasze życie nie podoba, on się brzydzi carskimi opryczniakami.

Podczas tej rozmowy Borys Godunow nie spuszczał wzroku z Jana. Zdawało się, że czytał z jego twarzy i cicho, przez nikogo niedostrzeżony, wyszedł z sali.

Maluta padł carowi do nóg.

— Batiuszka-car Iwan Wasiliewicz! wyjąkał, chwytając za poły carską odzież — dzisiaj rano ja głupi dureń, nieociosana pałka, prosiłem cię o nadanie mi bojarstwa, gdzie był wtedy mój rozum? czyż mnie śmierdzącemu niewolnikowi nosić czapkę bojarską? Zapomnij carze głupie słowa moje, każ zdjąć ze mnie kaftan złocony, ubierz w rogożę, tylko daruj Maksymowi winę jego. Młody on carze, głupi, nie wie, co mówi. A już jeżeli chcesz karać, to mnie karaj, żebym ja, głupi dureń, nie dawał się upijać synowi. Pozwól, carze, zaraz pod topór niosę swą głupią głowę.

Strach było patrzeć, jak się zmieniła twarz Maluty, jaka rozpacz malowała się na jego rysach, w których oprócz zwierzęcości nic nigdy wyczytać nie było można.

Car się uśmiechnął.

— Nie ma za co karać ani ciebie, ani syna twego; Maksym prawdę mówi.

— Co, carze? krzyknął Maluta — jakto?... Maksym ma słuszność? i wesołe zdziwienie swoje wyraził głupim uśmiechem, który znikł zaraz, bo mu się zdawało, że car kpi z niego.

Nagła przemiana w twarzy Maluty była tak niezwykłą, że car patrząc na niego, znów się zaczął śmiać.

— Maksym ma słuszność — powiedział w końcu poważnie — zbyt się pospieszyłem. Być to nie może, żeby Srebrny knuł przeciwko mnie zdradę. Pamiętam Nikitę jeszcze przed wojną Litewską. Zawsze go lubiłem. To wy, potępieńcy, — ciągnął dalej car zwracając się do Griaznego i Basmanowów — to wy pobudzacie mnie zawsze do przelewu krwi. Mało wam było dopiero co otrucia. Trzebaż jeszcze śmierci młodego bojara! Czego warci jesteście, zwierzęta! Idźcie po Srebrnego! Albo nie, już nie chodźcie! Późno, pewnie już głowa z niego zleciała. Wy wszyscy zapłacicie mi za krew jego.

— Jeszcze nie późno, carze, powiedział Godunow, wracając do sali. Kazałem się wstrzymać katom. Wiem, że nieraz skazanym na śmierć przebaczasz carze. Głowa Srebrnego już leży na pieńku, kat zdjąwszy kaftan, założył rękawy i czeka twego carskiego rozkazu.

Twarz Jana rozjaśniała.

— Borysie — powiedział — podejdź tutaj dobry mój sługo. Ty jeden znasz moje serce. Ty jeden wiesz, że ja nie przelewam krwi dla uciechy, ale żeby wykorzenić zdradę. Ty mnie nie uważasz za mięsożercę. Podejdź tutaj, Fedoryczu, niech cię uściskam.

Godunow się nachylił i car pocałował go w głowę.

— Podejdź i ty, Maksymie, pozwolę ci się pocałować w rękę. Mów zawsze tak, jak myślisz. Wydać mu sto dwadzieścia soboli na szubę.

Maksym skłonił się do samej ziemi i pocałował carską rękę.

— Jaką pensyę otrzymujesz?

— Taką jak i inni opricznicy szeregowi.

— Odtąd należysz do naczelnych opryczników, wszystko będziesz otrzymywał w takiej ilości jak i oni; ale widzę, że masz coś na języku, mów bez ogródki, czego chcesz?

— Carze, nie zasłużyłem twej wielkiej łaski, nie wart jestem odzieży bogatej; są

starsi ode mnie. O jedno proszę, carze, poślij mnie na wojnę z Litwą, poślij na ziemię Liwońską, lub, carze, na Riszań bić Tatary.

Coś w rodzaju podejrzenia można było dostrzedz na twarzy Jana.

— Co ci się chce tak nagle wojować zuchu; czy ci się sprzykrzyło życie w Słobodzie?

— Sprzykrzyło carze!

— Dla czego? spytał Jan, patrząc przenikliwie na Maksyma.

Maluta nie dał odpowiedzieć synowi.

— Carze — widzisz — on chce dać dowody swej wiernej służby. Chciałby i grzywnę na złotym łańcuszku otrzymać z rąk twoich carskich. Gorącą ma krew, carze, dla tego się prosi na Tatarów.

— Nie dla tego się prosi — podchwycił znów carewicz — ale dla tego, żeby postawić na swojem; "nie chcę być opricznikiem i nim nie będę; niech będzie tak jak ja chcę, a nie tak jak chce car."

— Tak! powiedział Iwan z uśmiechem — to ty Maksymku chcesz mnie przemódz. Patrzcież jaki rycerz! Ale gdzież tam mnie biednemu równać się z tobą. Cóż, nie chcesz być opricznikiem, to cię mianuję pomocnikiem kata.

— Eh, carze — wtrącił Maluta — gdzie tylko naznaczysz Maksyma, wszędzie będzie spełniał twą świętą wolę. Ale idź Maksymie do domu, już późno. Powiedz matce, żeby na mnie nie czekała; mam zajęcie w więzieniu, Kołaczewów potorturować. Idź Maksymie, idź.

Maksym poszedł. Car kazał przywołać Srebrnego.

Opricznicy wprowadzili księcia ze związanemi rękoma, bez kaftana. Kołnierz koszuli miał rozpięty. Za księciem wszedł starszy kat Pieroszka, z zawiniętemi po łokcie rękawami i z błyszczącym toporem w ręku.

Pieroszka przyszedł, bo nie wiedział, czy car przebacza winnemu, czy chce zmienić rodzaj kary.

— Podejdź bliżej — powiedział Iwan do Srebrnego, moje chłopcy za bardzo się pospieszyli. U nich już taki zwyczaj, nie patrzą, czy święto i dalej bić w dzwony. Tego nie rozumieją, że uśmiercić zawsze łatwo, ale jak zleci głowa, to innej przyprawić nie można. Bóg zapłać Borysowi. Żeby nie on byłbyś już na tamtym świecie, nie miałbyś już kogo o Chomiaka spytać. Opowiedz, za coś napadł na niego?

— Za to, carze, że sam on napadł na niewinnych ludzi. Nie wiedziałem wtedy, że Chomiak jest twoim sługą i nie słyszałem do tego czasu nic o opricznictwie. Wracałem z Litwy do Moskwy, gdy Chomiak ze swymi napadł na wieś i począł ludzi wyrzynać.

— A gdybyś wiedział, że są to moi słudzy, czy pobiłbyś ich wtedy?

Car wlepił swój wzrok w Srebrnego.

Ten ani minuty się nie zawahał.

— I wtedy bym pobił, carze, powiedział otwarcie, nie uwierzyłbym, że z twego rozkazu grabią!

Jan znów utkwił w księciu groźne spojrzenie i długo nic nie mówił; w końcu przerwał milczenie.

— Dobra twoja odpowiedź, Nikito — powiedział, kiwnąwszy głową na znak potwierdzenia — nie dla tego utworzyłem na Rusi opricznictwo, żeby słudzy moi napadali na niewinnych. Powinni oni jak dobre psy strzedz owce moje od czychających na nie wilków, żebym i ja mógł powiedzieć na strasznym sądzie Bożym według słów proroka: "to są dzieci. które dał mi Pan." Dobra twa odpowiedź. Powiem całemu światu: Ty i Borys, wyście tylko mnie poznali; drudzy tak nie myślą i nazywają mnie żądnym krwi, ścierwojadem, a nie wiedzą, że przelewając krew, łzami się zalewam. Krew widzą wszyscy, bo jest czerwona, każdemu rzuca się w oczy, ale mego płaczu nikt nie widzi; łzy bez koloru padają na serce moje, ale, jak smoła gorąca, wypalają w niem ranę po wszystkie dni żywota mego. (Car przy tych słowach wzniósł wzrok swój do nieba z wyrazem wielkiej goryczy.) Tak jak dawniej Rachel — mówił dalej — płakała za swoje dzieci, tak ja grzeszny płaczę za swych katów i dręczycieli. Dobra twoja odpowiedź, Nikito; daruję ci winę. Rozwiążcie go. Wynoś się, Pieroszka, tyś nam niepotrzebny. Albo nie, poczekaj trochę.

Jan zwrócił się do Chomiaka.

— Odpowiadaj — rzekł groźnie — coście robili w Miedwiediewce według swego dzikiego zwyczaju?

Chomiak wejrzał z podełba na Pieroszkę, potem na Srebrnego, potem pomacał się po głowie.

— Pobawiliśmy się trochę z chłopami odpowiedział chytrze i hardo — nie ma co taić, chcieliśmy się zabawić z tymi, co są w opale.

Groźny wyraz twarzy Jana złagodniał; uśmiechnął się.

— Cóż — spytał — dosyć ci książęcej pamiątki? Ja myślę, że dosyć. Widać, że trzeba i tobie będzie przebaczyć. Wynoś się Pieroszka, cóż robić, już taki nieszczęśliwy dzień wypadł dzisiaj dla ciebie.

Łagodne obejście się Jana ze Srebrnym wywołało szmer zadowolenia w kółku bojarstwa. Nie uszedł on delikatnego ucha carskiego, a podejrzliwość jego zaraz się przebudziła. Gdy Chomiak i Pieroszka wyszli z sali, Jan utkwił swe groźne spojrzenie w bojarach.

— Nie myślcie z mego sądu — powiedział ostro — że wam zaczynam pobłażać! I w tej chwili w niespokojnej duszy jego zrodziła się myśl, że pewno i książę przypisze delikatne obejście się z nim cara słabości jego charakteru. Żałował teraz, że przebaczył Srebrnemu i chciał poprawić swój błąd.

— Słuchaj — powiedział patrząc na księcia — zlitowałem się dzisiaj nad tobą dla twego szczerego słowa. Tylko wiedz, że jeśli się znajdzie jeszcze jaka nowa wina twoja, ja ci zapłacę i za starą; a ty wtedy nie uciekaj na Litwę ani do Chana jak to czynią inni i złóż mi teraz przysięgę, że wszędzie, gdzie tylko będziesz, powinieneś oczekiwać kary, jaką zechcę na tobie wymierzyć.

— Carze — powiedział Srebrny — życie moje jest w twojem ręku i chować się przed carem nie jest moim zwyczajem. Obiecuję ci, jeśli kiedykolwiek przed tobą zawinię, oczekiwać twego sądu i od twej woli nie uciekać.

— Pocałujżesz mi krzyż na stwierdzenie tego, coś powiedział — rzekł poważnie Jan, spojrzawszy z ukosa na bojarów i podając księciu krzyż, który wisiał u niego na piersiach.

Wśród ogólnej ciszy dało się słyszeć brzęknięcie łańcucha, gdy Jan wypuścił z rąk wizerunek Zbawcy, który przed chwilą Srebrny, przeżegnawszy się, ucałował.

— Teraz idź — powiedział Jan — i módl się do Przenajświętszej Trójcy i Wszystkich Świętych, żeby cię strzegli od nowej, choćby najmniejszej winy.

— A wy — dodał, patrząc na bojarów — wy, którzy słyszeliście naszą umowę, nie czekajcie na nowe przebaczenie Nikicie i nie myślcie wstawiać się za nim, jeżeli kiedykolwiek jeszcze zasłuży na mój gniew.

Twarz cara wyrażała wielkie zadowolenie. Rad był, że co do księcia zabezpieczył się pod każdym względem i że kiedy mu się zechce go katować, uczyni to bez najmniejszego dla siebie skrupułu.

— Idźcie wszyscy — powiedział — każdy do swej czynności. Opryczniey niech się nie martwią tem. Niech pamiętają, komu służą i dla czego służą!

Biesiadnicy zaczęli się rozchodzić. Każdy powlekł się do domu; jedni ze strachem, drudzy ze smutkiem, inni ze złością, inni z różnemi nadziejami a inni wreszcie z głową ociężałą od chmielu.

Nad Słobodą zapanowała ciemność. Księżyc zaczynał się pokazywać z za lasu. Strasznym wydawał się dworzec w otaczającej go do koła ciemności, ze swemi kopułami i wieżycami. Wyglądał z daleka jak jakie straszydło zwinięte w kłębek i gotowe wyskoczyć w każdej chwili. Jedno tylko zamknięte okno świeciło jak oko tego straszydła. To była carska sypialnia. Tam zapamiętale modlił się Jan. Modlił się do Boga o spokój na Rusi; prosił, aby Bóg mu pozwolił zwalczyć zdradę, aby pobłogosławił mu w dokończeniu wielkiego dzieła porównania silnych ze słabymi, żeby na Rusi nie było ani niższych, ani wyższych, żeby wszyscy byli równymi, a on jeden żeby stał nad nimi jak dąb w czystem polu.

———

X.

Ojciec i Syn.

Była już noc, gdy Maluta powrócił z lochów po skończonej torturze Kołaczewów, krewnych i przyjaciół straconego metropolity. Gęste chmury, podobne do czarnych gór, wisiały nad Słobodą, zapowiadając burzę. W domu Maluty wszyscy spali prócz Maksyma, który wyszedł na spotkanie ojca.

— Ojcze — powiedział Maksym — czekałem na ciebie, muszę z tobą pomówić.

— O czem? spytał Maluta i mimowolnie odwrócił oczy. Grygoryj Łukjanowicz nigdy nie drżał przed nikim, ale w obecności syna swego był nieśmiałym.

— Jutro odjeżdżam — żegnaj ojcze.

— Dokąd? spytał Maluta i na ten raz zamglonym wzrokiem spojrzał na Maksyma.

— Dokąd poprowadzą oczy; ziemia nie mała, miejsca dosyć.

— Coś ty?.. zwarjował? I rzeczywiście zwarjował. Coś ty dziś przy obiedzie narobił. Jak ci się język przekręcił, żeby przeczyć carowi. Czy wiesz kto on? kto ty?

— Ale mimo to zostać tutaj nie mogę.

— Maksymku — powiedział Maluta, starając się przyjąć najsłodszy wyraz twarzy, o ile mu na to zwierzęcość jego pozwalała — nie w porę zamierzasz uczynić coś podobnego. Twoje słowo podobało się dzisiaj carowi. Zamiast cię karać, pochwalił jeszcze i pensyi dodał i szubę sobolą podarował. Patrz, jak teraz wzniesiesz się do góry. A tymczasem czyż ci życie w Słobodzie niemiłe?

Maksym padł ojcu do nóg.

— Niemiłe, batiuszka, niemiłe. Już dłużej nie mogę zostać. Nie mogę słuchać dłużej lamentu i płaczu codziennego. Nie mogę ścierpieć, że ojciec mój...

— No?.., że ojciec — powiedział Maluta.

— Że ojciec mój jest katem! — wymówił Maksym i spuścił oczy, jakby przestraszywszy się, że śmiał powiedzieć swemu ojcu takie słowo.

Ale Maluta się nie obraził o taki przydomek.

— Kat katowi nie równy — powiedział, spojrzawszy z ukosa w kąt izby. — Co innego jest tracić zwyczajnych przestępców, złodziei, rozbójników, a co innego bojarów, którzy toczą carską koronę i gotują upadek całemu państwu. Mój topór ścina tylko zdradzieckie bojarskie głowy.

Złość gorzała w sercu Maluty, ale Skuratow miał jeszcze nadzieję powstrzymać Maksyma i skrzywił usta, chcąc im nadać wyraz czułego uśmiechu. Ale uśmiech ten nie nadał się do jego zwierzęcej twarzy i Maksym, spojrzawszy na ojca, zadrżał ze zgrozy.

— Maksymeczku — powiedział — dla kogoż ja pieniądze zbieram. Dla kogoż męczę się i pracuję? Nie odjeżdżaj ode mnie, zostań ze mną! Pamiętaj, żem ja twój ojciec. Jak spojrzę na ciebie i na duszy mi weselej zaraz, tak jakby mnie car pochwalił; a niechby cię tylko kto obraził, to zdaje się do żywegobym go zjadł.

Maksym milczał. Maluta starał się nadać swej twarzy najłaskawszy wyraz.

— Czyż ty Maksymku zupełnie już mnie nie kochasz, czyż w sercu twojem nic do mnie nie zadrga?

— Nie ojcze.

Maluta przezwyciężył swą złość.

— A car co powie, jak się dowie o twoim odjeździe, jeżeli pomyśli, żeś ty od niego uciekł?

— Bo też od niego uciekam ojcze. Strach mnie przejmuje. Wiem, że Bóg każe go kochać. Ale jak spojrzę nieraz, co on wyprawia, to sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Chciałbym go kochać, lecz nie mogę. Jak odjadę ze Słobody i nie będę miał przed oczami krwi niewinnej, to da Bóg, może znów cara pokocham. A nie uda się, to i tak będę mu wiernie służył, tylko nie w opricznictwie.

— A co się stanie z matką twoją? — powiedział Maluta, uciekając się do ostatniego środka. — Nie przeżyje takiego nieszczęścia. Zabijesz staruszkę niewdzięczniku, wiesz jaka ona słaba!

— Litościwy Bóg nie porzuci mej matki — odrzekł z westchnieniem Maksym — ona mi przebaczy.

Maluta zaczął chodzić po izbie tam i nazad. Gdy się zatrzymał przed Maksymem, łagodność, do której zniewolił twarz swoją,

znów zamienił wyraz okrutnej srogości.

— Słuchaj gołowąsie — powiedział zmieniając ton mowy — dotychczas cię prosiłem, a teraz ot co ci powiem; nie daję ci błogosławieństwa na drogę. Nie pozwalam ci jechać. A jak się nie upamiętasz, jutro cię zmuszę swemi rękoma tracić bojarów. Jak się krwi napijesz, to przestaniesz gardzić swym ojcem.

Zbladł Maksym, słysząc stanowcze słowa Maluty. Czuł, że nie złamie ojcowskiej woli.

— Widzisz — ciągnął dalej Maluta — zagadałem z tobą, a tu noc już późna i czas oddać carowi klucze od więzienia. A tu i deszcz lunął. Podaj mi płaszcz. Widzisz go jaki mi prędki! "Jechać muszę, żyć tu już dłużej nie mogę." Popuść mu trochę to i mnie chciałby przeinaczyć. Nie bratku, zawcześnie skrzydełka rozpuściłeś! Ja i nie takich jak ty uśmierzałem! I ciebie posłuszeństwa nauczę. Ależ jaki czas, jaki czas! Daj mi czapkę. A jaka błyskawica! Widzisz, jak się niebo roztwiera; zdaje się, że cała Słoboda w ogniu! Zamknij okno i idź spać, może do rana ci ze łba wywietrzeje! A już ja do twego Srebrnego się dobiorę. Już ja mu przypomnę!

Maluta wyszedł. Maksym pozostawszy sam zamyślił się. W domu była cisza zupełna, tylko na dworze szalała burza; wiatr wlatując przez okno, poruszał łańcuchy i kajdany wiszące na ścianie, które, uderzając jedne o drugie, wydawały złowrogi dźwięk żelazny. Maksym poszedł do schodów, prowadzących do świetlicy, gdzie spała jego matka.

Na górze panowała wielka cisza. Maksym po cichutku wszedł po krętych stopniach i zatrzymał się przed samemi drzwiami świetlicy.

— Boże mój — rzekł do siebie. — Ty patrzysz na moje serce, Ty znasz myśli moje. Ty wiesz, że ja nie ze złej woli nie mogę być posłusznym. Przebacz mi Boże, że przestępuję przykazanie Twoje. I ty, droga matko, przebacz mi! Porzucam cię bez twego błogosławieństwa i wiem matko, że ci przez to serce rozkraję, ale ty byś mnie z własnej woli nie puściła. Przebacz droga matko i żegnaj już się więcej nie zobaczymy.

Maksym ucałował próg świetlicy, potem przeżegnał się kilka razy, zszedł ze schodów i nie zatrzymał się aż na dworcu. Deszcz lał takiemi ogromnemi kroplami i taki gęsty, jakby się gniewał na cały ród ludzki. Na dworze nie było żywej duszy. Maksym wszedł do stajni; słudzy spali. Sam wyprowadził od żłobu najulubieńszego konia i osiodłał go. Wielki łańcuchowy pies wyskoczył z budy i zaczął łasić się i wyć usiłując zerwać się z łańcucha, jakby przeczuwał blizkie rozstanie się z panem.

Był to kosmaty, pasterski pies. Długie kudły burego, podpalanego koloru, spadały mu na pysk, tak, że całkiem zakrywały mądre jego oczy.

Maksym pogłaskał psa, który położył mu na ramiona czarne swoje łapy i począł lizać jego twarz.

— Żegnaj, Bujanie — powiedział Maksym — pilnuj domu naszego, służ wiernie matce.

Poczem wskoczył na siodło, wyjechał za bramę i opuścił dom rodzicielski.

Nie dojechał jeszcze do wału, gdy usłyszał głośne szczekanie i ujrzał Bujana, skaczącego koło konia z radością, że się zerwał z łańcucha i może towarzyszyć swemu panu.

XI.

Nocna Processya.

Podczas gdy Maluta rozmawiał z synem, car nie przestawał się modlić. Już pot lał się z jego twarzy i już dawniejsze krwawe znaki na czole coraz widoczniej odznaczały się od nowych. W tem szelest w izbie zmusił go do obejrzenia się. Ujrzał swą mamkę Onufrową. Starą była carska mamka. Trzymał ją na łaskawym chlebie jeszcze Wasilij Joannowicz i służyła jeszcze Helenie Glińskiej. Jan urodził się na jej rękach, na jej rękach błogosławił go umierający ojciec. Mówili, że wiele wie Onufrowa takich rzeczy, które nikomu nawet na myśl nie przychodzą. Gdy car był małoletnim, Glińscy bali się jej; Szujscy i Bielscy starali się jej pod każdym względem jej dogadzać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRAWIEC CZARNOKSIĘŻNIK.

CIEKAWE OPOWIADANIE.

(Ciąg dalszy.)

Ja jeszcze nad tem się zastanowię i zobaczę, czy by się nie dał z tego sukna wykroić surdut.

— A więc dobrze, — rzekł młynarz — ale jeżeli będziecie widzieli, że surduta złatać nie można, to oddajcie mi sukno. Rzekłszy to odszedł.

— Złatać! — mruczał po jego odejściu — tak jakbym to ja był fuszerem. Rozwinął sukno na stole i zawołał Fryca, by się przypatrywał, jakby się najkorzystniej dała wziąść miara. Mierzył, próbował, znaczył i znowu ścierał kredę, lecz nic nie mógł zrobić; sukna zawsze brakowało. Zwinął tedy sukno i rzekł:

— Zaczekajmy z tem do jutra; noc często dobrą przynosi radę. Pamiętaj o tem przysłowiu, Frycku. Tybyś zapewne nie zważał na nic, pokrajał sukno i ma się rozumieć zepsuł. Ale to tak nie idzie; nad wszystkiem trzeba się zastanowić i rozmyśleć. A jak nie uda się jutro, to spróbować trzeba pojutrze, a w końcu przecież się coś wymyśli.

I robił tak nasz krawiec; każdego dnia mierzył, znaczył, lecz nie mógł nic wymierzyć. W końcu zwinął sukno i odłożył je na bok. Minął tydzień i młynarz już począł się dopytywać, czy surdut już gotów. Na drugi tydzień majster wybierał się do sąsiedniej wsi na robotę i dla tego skrajał kilka kawałków materyi, by Fryc miał co szyć podczas jego nieobecności. Odchodząc polecił Frycowi, by oddał młynarzowi sukno.

— Niech sobie poszuka — rzekł — takiego, co by mu z tak małego kawałka sukna zrobił porządny surdut. Powiedz mu, że ja nie jestem ani fuszerem, ani czarnoksiężnikiem.

IV.

Zaledwie drzwi się za krawcem zamknęły, gdy ucieszony Fryc wyskoczył z za stołu, przystawił sobie do niego stołek i wdrapał się do półki, zdjął leżącą tam materyę młynarza, poczem rozwinął ją na stole, wziął miarę i począł rozmyślać, jak by mógł najlepiej pociąć sukno.

— Części główne już by się znalazły, ale nie jedno trzeba będzie zszywać; tego by majster naturalnie nie nazwał mistrzowską robotą, ale już ja kawałki tak poszywam, że szwów w tem gęstem suknie wcale znać nie będzie. A więc do roboty. Muszę surdut uszyć!

Gdy przyszło do krajania, zabrakło mu nożyc, które majster wziął ze sobą. Nie namyślając się długo, — wszakże i ja mam moje małe nożyczki — mówił do siebie — za parę minut mogę je mieć tutaj. I duchem skoczył do domu, przyniósł nożyczki i zabrał się do krajania. Naznaczył tedy kredą linję, którędy miał poprowadzić cięcia, lecz w tej chwili przypomniał sobie, że nożyczki te zawdzięcza starej Walterowej. — Dobra Walterowa — szepnął, ucałował szybko nożyczki i zawołał:

— A więc do dzieła! Zaczął tedy ciąć, lecz ku wielkiemu jego zdziwieniu nożyczki wcale nie cięły temi liniami, które on ponaznaczał, lecz szły to tędy, to owędy; on wcale się nie opierał i po paru minutach sukno całe leżało już pokrajane w najrozmaitszych kierunkach.

— Co się ze mną stanie, gdy przyjdzie majster — rzekł zastraszony Fryc do siebie i podniósł kawał sukna, by zobaczyć, co też właściwie z nieszczęsnem suknem się stało. Pierwszy jednak kawałek wyglądał zupełnie

tak, jak powinna wyglądać główna część surduta. A mianowicie poły. Przyłożył miarę; miara zgadzała się najkompletniej. Tak samo dobre były plecy, rękawy, słowem: wszystko zgadzało się znakomicie i Fryc potrzebował pozszywać tylko niektóre części podrzędne surduta wcale w oko nie wpadające.

Ucieszony Fryc zaczął tańczyć z cudownemi nożyczkami i całował je wspominając przy tem z wdzięcznością staruszkę, która mu je dała.

W końcu schował nożyczki w swoje łóżko i zabrał się do roboty. Igła tak prędko chodziła mu w ręku, że nazajutrz pod wieczór surdut był gotów.

Właśnie co tylko skończył surdut prasować, czyścić i złożył go na stole, gdy drzwi się otworzyły i wszedł młynarz, który już sam przychodził się zapytać o swój surdut.

— Oto leży na stole — odparł Fryc.

Zdziwiony młynarz powtórzył:

— Gotów? — Poczem grożąc palcem dodał:

— Ale jakże jest sfuszerowany!

Fryc zaręczał, że będzie zupełnie dobry i prosił, aby go raczył zaraz spróbować.

— Dobrze — odparł młynarz — zaraz to zobaczymy. Zrzucił tedy stary surdut i wdział nowy. Wyglądał w nim wcale pokaźnie i z zadowoleniem przeszedł się parę razy po warsztacie.

— Hm, hm — mówił do siebie — leży bardzo dobrze, pod pachą mnie nie ciśnie, w piersiach nie jest za wązki; owszem jest długi dostatecznie i rękawy nie są ani krótkie, ani wązkie.

— Słuchaj no Fryc! Prawda, że twój majster ukradł jeszcze kawałek tego sukna?

— O wcale nie — odparł stanowczo Fryc, wszystko sukno wyszło i zapewniam was, że nie zostało się ani na palec. Niedowierzająco potrząsnął młynarz głową i chodząc po izbie mówił do siebie półgłosem:

— Przecież to zręczny człowiek ten Ferkel. Nigdy bym się po nim takiej sztuki nie spodziewał.

Wtem nagle drzwi się otwarły i pojawił się w nich sam Ferkel, który ukończywszy swą robotę prędzej niż się spodziewał, sprawił uczniowi przybyciem swojem niespodziankę. Zobaczywszy młynarza w nowym surducie, zdziwił się nie mało, a nie wiedząc o niczem, sądził, że młynarz odebrał swoje sukno, dał je do innego krawca, a teraz przyszedł chcąc się z niego wyśmiać.

— Tak, tak — rzekł mynarz, zobaczywszy krawca — dziwicie się, że surdut ten tak mi dobrze leży. Ależ i ja sam sądzę, że go już jakie parę miesięcy noszę.

To oburzyło krawca, który i tak się zagrzał powracając do domu i dla tego rzekł mu z przekąsem:

— To mnie bardzo cieszy, ale powiedzcie mi, cóż to za czarnoksiężnik potrafił wam złatać surdut z tej małej resztki?

— Tak, tak — odparł młynarz — dobrego i właściwego użyłeś wyrazu; musisz być rzeczywiście czarnoksiężnikiem. Ja bym sam tego o tobie nie przypuszczał.

Krawiec, który tego wszystkiego nie umiał sobie wytłumaczyć, a tłumacząc fałszywie ostatnie słowa młynarza, zaperzył się ogromnie, rzucił żelazko i nożyczki w kąt i porwawszy drewniany łokieć, natarł na młynarza, który widząc, że to nie przelewki chwycił za laskę trzcinową.

— A do kroćset tysięcy — wołał krawiec, to ty śmiesz powątpiewać o mojej umiejętności krawieckiej, tom ja czarnoksiężnik! Co! A trzysta tysięcy kaduków! Ja czarnoksiężnik!

— Ale nie, nie, nie jesteś czarnoksiężnikiem, lecz skończonym osłem! — wrzeszczał w odpowiedzi młynarz. Ostatecznie majstrowi i przedstawicielowi sztuki krawieckiej oberwało się kilka guzów i dla tego urządził rejteradę za stół i ztamtąd, wystawiwszy tylko koniec nosa, wywijał łokciem broniąc się z rozpaczą przeciw nacierającemu młynarzowi.

Poczciwy Fryc widząc, że to się może źle skończyć, wskoczył na stół, rozkrzyżował ręce i piszczał ile mu sił starczyło:

— Dajcie pokój, dajcie pokój! To ja byłem owym czarnoksiężnikiem, który zrobił surdut! To ja ten surdut zrobiłem!!...

— Ty? — zapytał młynarz i opuścił waleczną prawicę.

— Ty? — zapytał zdumiony krawiec, rzucając łokieć do kąta.

— Tak, — odpowiedział Fryc, wyciągając się i podnosząc na palcach w górę. — Tak,

zawołał z pewną dumą, ja go zrobiłem, ja majstrze, tak jak tu przed wami stoję.

— Fryc — zawołał Ferkel — nie łżyj! Tyś jeszcze wprawdzie nigdy nie skłamał; powiedz mi jednak, kto właściwie skrajał ten surdut, czy także ty? Czy mogę temu uwierzyć?

— Tak, ja go sam skroiłem, i zapewniam, że nie kłamię — odparł Fryc z poważnem skinieniem głowy.

— Jeżeliś to nie ty zrobił ten surdut — wmieszał się młynarz — to musiał go rzeczywiście ten malec uszyć, gdyż on mi go wręczył przed chwilą. — Krawiec zachwycony swym uczniem, pochwycił go ze stołu w swoje objęcia i zaczął z nim tańczyć, wołając:

— Frycku, ty mi sławę pozyskasz, tak tak, ty jesteś rzeczywiście czarnoksiężnikiem!

V.

Od czasu kiedy Fryc dał tak świetny dowód swojej niepospolitej zdolności, powierzał mu już majster zawsze i branie miary i chociaż mocno się cieszył, że miał w swojej pracowni tak zdolnego pracownika, to jednakże z drugiej strony nalegał na rodziców, by Fryca koniecznie na wędrówkę wysłali. Fryc z wielką radością dowiedział się w końcu pewnego dnia, że wkrótce pójdzie w świat, między obcych ludzi i spiesznie pakował tłumoczek podróżny; cudowne nożyczki ukrył na samem dnie tłumoczka.

Pożegnawszy się z rodzicami i braćmi, udał się Fryc po raz ostatni do swego majstra po formalne pozwolenie pójścia na wędrówkę. Ferkel udzielił takowego chętnie i postanowił towarzyszyć mu przez cały pierwszy dzień wędrówki. Sam niósł mu całą drogę węzełek i ciągle mu dawał nauki, jak ma się zachowywać wobec majstra i swoich kolegów.

Około południa przyszli pod stromą górę, która stanowiła granicę ich wsi i doliny. Tu odpoczęli trochę i poczęli się wdzierać na jej szczyt, z którego przedstawił im się widok piękny miasteczka tuż za górą położonego. Chcąc dojść tam jeszcze przed nocą, przyspieszyli kroku i po paru godzinach stanęli u bram miasta. Tu spotkali jednak wychodzący właśnie orszak pogrzebowy i zapytawszy o zmarłego dowiedzieli się, że to umarł najlepszy krawiec w mieście.

— Musimy tedy zostawić nasze węzełki w gospodzie, a sami pójdziemy za trumną — rzekł Ferkel — wypada byśmy zmarłemu temu ostatnią oddali przysługę, tem bardziej, że był tak samo krawcem jak i my.

Jak rzekli, tak zrobili; tłumok zostawili w gospodzie, a sami poszli na cmentarz, gdzie pozostali, póki się nie skończyło nabożeństwo. W końcu ludzie się rozeszli, a nad świeżo usypaną mogiłą została tylko zrozpaczona wdowa. Wtedy przystąpił do niej Ferkel i zaczął ją pocieszać tkliwemi słowy, a pocieszał ją tem serdeczniej, że zmarły krawiec (jak się potem dowiedział) był niegdyś jego kolegą i pracował z nim w tym samym warsztacie. Udało się mu to pocieszenie o tyle, że wdowa dała się nakłonić do opuszczenia smutnego cmentarza i żółtej piaskowej mogiły, która pochłonęła najdroższą sercu istotę.

W drodze do domu zaczęła się wdowa uskarżać na ogrom swego nieszczęścia.

— Nie mówiąc już o samej stracie, jaką w skutek śmierci męża poniosłam — narzekała zasmucona kobieta — będę musiała teraz ponosić jeszcze niedostatek. W przeszłym roku chcieliśmy sobie postawić domek i wydaliśmy nie tylko całą naszą zaoszczędzoną gotówkę, ale, jak to zwykle w podobnym wypadku bywa, musieliśmy się jeszcze zapożyczyć, gdyż budowę zaczętą należało wykończyć. A dzisiaj mąż umarł, długi zostały, a ja nieszczęśliwa z czegóż zapłacę procenta od pożyczonej sumy? Na czeladź nie wiele mogę liczyć, gdyż gdzie nie ma energicznego majstra, tam czeladnicy nie skoro się biorą do roboty. I zdaje mi się, że mi dom wkrótce za długi zabiorą i nie będzie się gdzie podziać z małemi, niedorosłemi dziećmi. — Ferkel pocieszał ją i radził, by się postarała o tęgiego, pracowitego czeladnika, któryby, prowadząc nadzór nad resztą czeladzi, mógł prowadzić dalej interes mężowski.

— To by było dobrem — odparła wdowa, lecz dzisiaj mało jest dobrych czeladników, a jeżeli się jaki znajdzie, to woli pracować w swoim własnym warsztacie.

Ferkel zamyślił się teraz i dopiero po dobrej chwili rzekł:

— A to właśnie dobrze się trafia; oto widzicie, ten młody człowiek uczył się u mnie krawiectwa i chociaż dopiero puszcza się na wędrówkę, zna swoje rzemiosło już tak dobrze, jak najstarszy czeladnik. Weźcie go do siebie na pierwszego czeladnika, a ręczę wam, że zawstydzi wszystkich tutejszych krawców.

Wdowa spojrzała niedowierzająco na małego Fryca. Ferkel domyśliwszy się powodu jej wachania, rzekł spiesznie:

— Nie myślcie o nim źle; jest on wprawdzie mały i młody, a jednak dokazuje cudów w swoim zawodzie. W naszej wsi nazywali go wszyscy czarnoksiężnikiem. Weźcie go tylko na parę tygodni, a gdy Was nie zadowolni, wtedy uwolnicie go od obowiązku i pójdzie sobie chłopiec dalej w świat.

Uwierzyła wdowa tym słowom Ferkla i przyjęła Fryca na pierwszego czeladnika; Ferkel przyniósł mu też zaraz jego tłumoczek, pożegnał się tkliwie ze swym uczniem i odszedł do rodzinnej wioski.

VI.

W warsztacie pozostałej wdowy pracowało dwóch czeladników, którzy zaledwie pod dozorem majstra pracowali jako tako. Gdy im majstrowa przedstawiła nowego towarzysza, śmieli się z niego, kpili co wlazło, i czekali tylko chwili, by się nowy pracownik zabrał do roboty, gdyż myśleli, że jaki czeladnik, taka będzie i jego praca. Ten jednak zniósł spokojnie ich drwiny, usiadł skromnie na przeznaczonem sobie miejscu i zapytał:

— Cóż mi dacie do roboty?

— A cóż ty umiesz? — zapytał go wzajemnie czeladnik,

— Dajcie, co macie — odparł Fryc.

Podali mu więc surdut, przy którym należało się jeszcze powyszywać dziurki. Nic nie mówiąc, zatknął swój mały naparstek na palec i zabrał się gorliwie do roboty.

Czeladnicy myśleli, że Fryc wybierze sobie jaką łatwiejszą robotę i dla tego patrzyli skrycie jeden na drugiego i śmieli się między sobą.

— To będzie piękna robota, — szeptał jeden.

— Niech się cieszy, niech się popisuje, jak umie — odpowiadał drugi.

— Drwijcie sobie — myślał Fryc, który udawał, że nic nie słyszy i tylko szył bez bez przestanku. Zaledwie jednak upłynął czas stosunkowo bardzo krótki, a Fryc już ukończył swą pracę i podał ją, nie mówiąc ani słowa, czeladnikom.

Ci byli przekonani, że będą mogli kpić na koszt małego czeladnika, jakże się jednak zdumieli i zawstydzili, gdy ujrzawszy wykończone dziurki, musieli przyznać, że oni takich dziurek przy największej pilności i staranności wyszyć nie byliby w stanie. Natychmiast pobiegli też do majstrowej, by jej pokazać zręczność i umiejętność nowego pogardzonego przez nich czeladnika.

Majstrowa ucieszyła się, że ma tak dobrego czeladnika w swojej pracowni, lecz zakłopotana dodała zaraz:

— Jetem teraz w wielkim kłopocie. Pan sędzia miejski, który zawsze u nas ubranie sobie zamawiał, kazał sobie wziąść miarę na nowy garnitur przed ośmiu dniami, wtedy kiedy mój mąż cieszył się jeszcze dobrem zdrowiem. Dzisiaj właśnie sędzia przysłał do mnie posłańca, dowiadując się, czy ubranie już gotowe i powiedział, że jeżeli sukno nie jest jeszcze skrojone lub jeżeli nie będzie zupełnie gotowe w trzech dniach, to mam mu sukno oddać; on i tak już nie ma wielkiego zaufania do naszej firmy, gdy brak dobrego majstra. Ja nie chciałabym jednak stracić tak popłatnego "kundmana", a sama nie wiem, co tu dzisiaj zrobić i jaką mu przesłać odpowiedź!

— E! jeżeli tylko miara jest dobra — odparł Fryc — to obstalunek może być w jednym dniu skończony.

Zakłopotani czeladnicy skrobali się tylko po głowie i za uszami, ale nie chcieli wcale podjąć się tego trudnego zadania. Majstrowa tymczasem przyniosła sukno, które wraz z miarą od śmierci męża nietknięte leżało.

— Czy potrafi który z was pokrajać to sukno podług tej miary? — zapytała. Fryc pierwszy przerwał milczenie.

— Jeżeli miara jest dobra — odpowie-

dział, to ja już to zrobię.

Następnie wziął miarę, przypatrywał się jej pilnie, badał, a w końcu rzekł stanowczym głosem:

— Podług tej miary nie można krajać, gdyż jest całkiem zła.

— Oho! — rzekli dwaj towarzysze razem, majster sam brał miarę. Cóż to miałbyś być mądrzejszym od niego? Przecież znowu tak biegłym w tej sztuce nie jesteś.

— Nie, — odparł spokojnie Fryc — ja jestem z tej wsi ot tam za górą; to nie tak daleko. Ale cóż by to było dziwnego, przecież za górami mieszkają także ludzie. Patrzcie tylko.

Rozciągnąwszy miarę na stole zażądał, by pokazali szerokość pleców i długość rękawów.

— Widzicie — ciągnął dalej — podług tej miary człowiek musiał by mieć ręce tak małe, jak karzeł, i prawdopodobnie miara wzięta jest tylko do łokcia. Miary na szerokość pleców nie widzę wcale.

Czeladnicy pootwierali z podziwienia gęby, ale przyznali Frycowi zupełną słuszność. Lecz majstrowa znowu zaczęła lamentować nad swojem nieszczęściem, że straci takiego "kundmana". I gdy tak wszyscy rozmyślali nad tem, jak by najłatwiej z tego kłopotu wybrnąć mogli, wziął Fryc czapkę i zapytał:

— Gdzie mieszka sędzia?

— Cóż ci po tem? — zawołali czeladnicy.

— Jeżeli garnitur ma być w naszej pracowni robiony — odparł obojętnie Fryc — i jeżeli ja mam go skroić, to muszę jeszcze raz sam wziąść miarę.

Rzekłszy to udał się wprost do mieszkania sędziego.

VII.

— Czego chcesz malcze? — zapytał go sędzia.

— Pani majstrowa poleciła mi kłaniać się pięknie panu sędziemu — odparł Fryc — i prosić o przebaczenie, że z powodu miary ośmielam się go jeszcze raz fatygować. Zgasły majster był już wtenczas chory, gdy brał miarę i dla tego takowa nie dokładnie wypadła. Pozwoli tedy pan sędzia, bym mógł poprawić pomyłki majstra.

Na te słowa zachmurzył się sędzia i rzekł:

— Ej, ej, zła to dla mnie przepowiednia; zdaje mi się, że twoja majstrowa straci cały zarobek i będzie musiała zwinąć krawiectwo.

— A to dla czego? — zapytał Fryc.

— Dla tego — odparł sędzia — gdyż twoja majstrowa powinna była posłać pierwszego czeladnika, a nie ucznia.

— Przepraszam pana sędziego — rzekł Fryc — ja nie jestem uczniem, lecz czeladnikiem i zostanę wkrótce pierwszym czeladnikiem i przedstawicielem naszej firmy.

— Ty! czeladnikiem i przedstawicielem? zawołał niedowierzająco sędzia.

— Tak, ja — rzekł Fryc — ja Fryc, nazwany czarnoksiężnikiem.

Sędzia jednak nie mógł uwierzyć słowom Fryca.

— Bierz więc miarę — rzekł krótko — ale zdaje mi się, że to będzie ostatnia miara, którą tu bierzesz.

— Nie mów pan tak — odparł Fryc.

— Przecież pan sędzia nie będzie taki niemiłosierny, by miał biedną wdowę pozbawiać potrzebnego zarobku. Ja zresztą idę o zakład, że ubranie będzie na jutro wieczór zrobione i tak wygodne, że pan sędzia i na przyszłość nas swoimi zamówieniami zaszczycać będzie raczył.

— O! jak widzę, to jesteś siebie bardzo pewny. A o cóż idzie zakład? — zapytał sędzia.

— Ja jestem spokojnym człowiekiem — odparł Fryc.

— Ale ponieważ i spokojnego można czasem pociągać do odpowiedzialności, dla tego proszę, by pan sędzia w danym wypadku raczył mieć dla mnie względy. Jeżeli zaś ubranie nie będzie zrobione, jak się należy, wtedy pan sędzia postąpi sobie ze mną z największą surowością.

— Dobrze, odrzekł sędzia.

Teraz zabrał się Fryc do brania miary. Ponieważ jednak sędzia był słusznego wzrostu, więc go Fryc poprosił, by stanął bliżej stołu, sam przysunął sobie krzesło i włażąc to na stół, to na krzesło, brał w ten sposób miarę. Gdy w końcu miał wziąść miarę na obwód surduta, nie mógł sobie inaczej pora-

dzić jak tylko w ten sposób, że przytwierdził miarę do surduta z jednej strony i prosił sędziego, by się obrócił w koło.

Wziąwszy miarę i rozweseliwszy swojemi skokami nieraz sędziego powrócił do domu wyciągnął swe cudowne nożyczki i ucałowawszy je z wdzięcznem wspomnieniem o Walterowej, zabrał się do krajania. To szło mu tak szybko, że przestraszeni czeladnicy pobiegli do majstrowej, wołając:

— Pani, pani, Fryc kraje sukno na tysiączne, a nawet miary do niego nie przytknął.

Gdy majstrowa przyszła do pracowni, sukno już było pokrajane, a nożyczki znowu ukryte w swoim schowku. Chcąc ich przekonać, że sukno dobrze pokrajał, pokazał im jak pojedyncze części do siebie podług miary przystaja. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu majstrowej, został się jeszcze spory kawałek sukna.

— A to co? — zapytała.

— To się jeszcze zostało — odparł Fryc. Wdowa jednak nie mogła tego pojąć i rzekła:

— Tego przecież nie mogę panu sędziemu oddać, gdyż będzie myślał, że mój mąż pierwej go okradał. Pierwej nigdy się nic nie zostawało.

Fryc jednak oświadczył stanowczo, że pozostałą rzsztkę oddać koniecznie potrzeba, a on będzie starał się, usunąć powstać mogące w umyśle pana sędziego podejrzenie, tłumacząc mu, że on tylko wskutek ulepszonego systemu krajania, sukna zaoszczędził.

Czeladnicy musieli teraz zszywać pojedyncze części; on sam zostawił sobie najtrudniejszą pracę i tak szyli wszyscy trzej w zawody. On, tj. Fryc najprędzej skończył swą robotę i pomagał jeszcze swoim czeladnikom — krótko, drugiego dnia na wieczór ubranie było gotowe. Zdziwił się sędzia, że ubranie tak prędko i tak starannie zostało wykończone, bardziej jednak wprawiło go w zdumienie to, że jeszcze tyle zostało się sukna.

— Takich resztek nigdy od zmarłego majstra nie dostawałem — mówił podejrzliwie sędzia — prawdopodobnie robił on z nich ubrańka dla swoich dzieci.

— Panie sędzio! Krzywdzisz pan takiem podejrzeniem zmarłego — odparł z powagą Fryc — on nie umiał tylko tak zręcznie wykroić poszczególnych części ubrania i dla tego nie mógł oszczędzić sukna.

Tymczasem sędzia spróbował nowe ubranie; włożył na się, przeszedł się w nim parę razy po pokoju, a w końcu rzekł z widocznem zadowoleniem:

— Istotnie wygrałeś zakład mały czarnoksiężniku. Od tej chwili tylko u was będę sobie zamawiał ubrania, a pracowni waszej nie zaniedbam także polecić i wszystkim moim znajomym.

VIII.

Sędzia dotrzymał słowa, gdyż wkrótce całe miasto wiedziało już o małym czarodzieju; wszyscy też w zawody spieszyli do pracowni wdowy po dobre i gustowne ubrania, tak że ta ostatnia zmuszona była przyjąć jeszcze kilku czeladników. Nie wszyscy oni byli pracowici i zręczni, lecz Fryc energicznie prowadził nad nimi nadzór i poty nie wypuścił z pracowni obstalunku, póki się nie przekonał, że tenże jest jak najsumienniej wykonany.

Niektórzy czeladnicy zazdrościli Frycowi i niechętnem patrzeli okiem na jego powodzenie; tak więc miał on w własnej pracowni nieprzyjaciół. Lecz nie brakło ich także i w mieście. Wszyscy tylko czekali na sposobność, by mu dać uczuć swoją złość i nienawiść, lecz Fryc żył tak skromnie i cicho, że i największy wróg nic by mu zarzucić nie był w stanie.

Razu jednego zauważył jeden z czeladników, że Fryc, całował zawsze nożyczki, ilekroć miał ciąć niemi materyą i wymiarkował ztąd, że nożyce te nie mogą być zwyczajne, lecz że musi być do nich przywiązana jakaś ukryta siła; nie uszło także uwagi ciekawca, że nożyczki więcej same sobie nadawały odpowiedni kierunek i same krajały po wyznaczonych liniach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W. BOGUSŁAWSKI,

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÒRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Dorota.

Kiedy tak, to się Baśki nie spodziewaj prózno,
Dziś ją górale wezmą, bądź zdrów.

(Chce odejść).

Stach *(biegnąc za nią).*

A cys mozna
Abyście mnie tak dręcyć chcieli? hej słuchajcie!
Albo mi zaraz dzisiaj swoją córkę dajcie,
Albo powiem męzowi, ze wy mnie kochacie.

Dorota.

Oho! próznać to praca, nie wskoras nic bracie,
Tak ja memu starcowi zakręciła głowę,
Zeby cię jesce wyprał, za takową mowę.
Sprobujno, a zobacys, jak tam zecy chodzą,
Gdzie młode zonki, starych mężów za nos wodzą.

(Odchodzi).

Stach.

Prózna widzę nadzieja, cós ja teras pocnę,

(Tu słychać strojenie skrzypców w karczmie).

Ale otós i tańce zacynają skocne,
Niechze se tu tańcują, ja ojca sprowadzę,
I z nasym organistą troche się naradzę;
On, jak się na perore do ojca wysadzi,
Moze od mojej Baśki, Górala odsadzi.

(Odchodzi).

SPRAWA IV.

Paweł, Zośka, Jonek. Basia, *druchny, drużbowie.*

(Jonek zwyczajem krakowiaków stawa zawsze na przodzie, kiedy śpiewa zwrotkę. Jonek z panną młodą, a pan młody z Basią, reszta krakowiaków parami tańcują).

Jonek *(śpiewa).*

Oj dadada, dadadada tańcujmy wesoło!
Skaccie chłopcy, skaccie dziewki, skacwa wsyscy wkoło.

(Tańcują).

Wyjdźcie do nas Panie Bartku, Pan Paweł was prosi
Bo dziś jesce chciałby urwać rózyckę u Zosi.

(Tańcują).

Zosia ceka niecierpliwie, rychło wiecór będzie,
Bo dostanie ślicny cepek, choć rózy pozbędzie

(Tańcują).

Dziś Pan Paweł pozna Zosię, cy mu zyła wiernie,
Jeśli jesce u rózycki, ma kolące ciernie.

(Tańcują).

I wy Panie Bartłomieju, mieliście te gody,
Kieście kwiatek chcieli urwać, u zonecki młody.

(Tańcują).

A więc dłuzej nie wstsymujta, nasej lubej pary,
Boćto młody zywiej pragnie, niźli wejcie stary.

(Tańcują).

SPRAWA V.

Ciż sami, **Bartłomiej** *i* **Dorota.**

(Wychodzą ze młyna).

Bartłomiej.

Witam was moje dzieci, cegós — to ządacie?

Jonek.

Oto tu Bartłomieju, państwo młode macie,
Które was psysło prosić, na swoje wesele.
Ja, jako pierwsy druzba, do nóg wam się ścielę,
Byście swoją osobą udazyć ich chcieli,
Psytem, byście swą zonkę i córeckę wzięli,
Pokorniuchno uprasam (*kłania się.*)

Bartłomiej.

Toć ty wej dziewecko
Nasego Pana Pawła zostanies zonecką?
Winsuję, zyjcie zgodnie w małzeńskiej psyjaźni,
Zawse bez pseciwności i bes zadnej kaźni;
Zyjcie w tym stanie, który wam Pan Bóg spoządził,
Kiedy samemu cłeku źle być sądził,
Więc nie męza, nie brata, ani tes drugiego
Jadama utwozył mu, do zycia wspólnego,
Ale mu zonę z jego uformował ziobra,
Boć to zła zec jednemu zyć, a dwojgu dobra.
Zyj więc scęśliwie paro, z dusy zyce tego!

Paweł *(kłania się).*

Dziękujewa Wasmości.

Bartłomiej *(do Zosi).*

A ty kochas jego?
Powiedzze, nie wstydźno się, bo to bes miłości
Za nic małzeńskie śluby.

Paweł.

Sroma się Wasmości,
Nie chce wej gadać.

Dorota.

Mówze.

Paweł.

Nie bądźze tak płochąm.

Bartłomiej.

Jakze, czy kochas Pawła Zosiu?

Zosia *(wstydząc się wymawia z prędkością).*

I toć kocham.

Bartłomiej.

Błogosławze więc Boze wase serca cyste!

Jonek.

Otós wej i Stach z ojcem wiodą organiste
Usłysema tu zaraz ślicną oracyję.

SPRAWA VI.

Ciż, **Wawrzeniec, Stach, Organista.**

Miechodmuch.

Witam, witam, zebraną całą kompaniję,
I proszę mi pozwolić, by w ten dzień wspaniały
Ręce moje na dźwięcznych cymbałach zagrzmiały.

(Biorąc się pod boki, jak przystoi na oracyi).

O Pawle, chłopców ozdobo!
Zochfija łączy się z tobą.
I tak się łączy do szpółki,
Że kieby dwa jaszkółki;
Poplątawszy swe nogi, jak one we wodzie.
Tak wy dziś utoniecie w małżeńskiej szwobodzie!
Kochajcie się więc zawdy, jak szynogarlice,
Pnijcie się w górę razem, kieby chmiel po tyce.
We dwa rzędy szadzony ogród kształtniej sztoi,
Dyjament wsadzon w złoto, jaśniej światło dwoi,
I dwa szłowiki nawet, śpiewają szwobodniej,
Weselej zapalone gorę dwie pochodnie;
Tak i wy, w jedno życie z obojga wcieleni,
Z obydwóch sztron będziecie błogosławieni!
A jak się wam szczęścić będzie,
Gdy ksiądz przyjdzie po kolędzie,
Nie zapominajcie o Organiście,
A ja wam za to ogniście
Zagram przy ślubie na całe organy.
Skończyłem, dyksy, siądźmy, ty Panie kochany
Pawle, masz nam tu przynieść miodu garczy parę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)